Radomir Darmiła "Smutna historia o miłości ze szczęśliwym zakończeniem"

Cintryjka

W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, co robi stado wilków wokół rosnącej na polanie, otoczonej niskimi krzewami lipy. Dopiero po chwili, wytężając wzrok, zauważyłem między nagimi gałęziami ciemny kształt. Nie wyglądało to na wróbla; wiewiórka nie wytrzymałaby tak długo bez jednego ruchu. Jakby odpowiadając na moje myśli, kształt poruszył się, rozprostował i wtedy rozpoznałem skrzata.
Skrzat; i to skrzat niezbyt rozgarnięty, skoro dał się zagonić na drzewo. Wilki, swoją drogą, także nie wyglądały na szczególnie bystre, skoro zamiast rozejrzeć się za jakąś inną zwierzyną, odmrażały tutaj zady. Zaintrygowany, pokręciłem głową. Najdziwniejsze w tym wszystkim nie było nawet to, że siedzą tak uparcie pod drzewem. Że w ogóle próbowały skrzata złapać, samo w sobie biło wszystkie rekordy dziwnego zachowania. Na skrzacie mięsa mniej niż na ryjówce. A ryjówkę łatwiej upolować.
Obserwowałem całą dziwaczną sytuację kucając na gałęzi niskiego świerku, bezpiecznie skryty pod igłami i białym okapem śniegu. Wyglądało mi to na impas: skoro skrzat jeszcze nie próbował ucieczki, musiał najwidoczniej być ranny albo chory. Wprawdzie śnieg był głęboki, łatwo się było w nim zakopać, ale mimo wszystko dawałem wilkom nie więcej niż trzy szanse na dziesięć na złapanie skrzata, gdyby ten jednak się zdecydował na zeskoczenie z drzewa. Ja bym zaryzykował. Z drugiej strony, wilki nie mogą zrobić nic, ich niedoszła ofiara siedzi wysoko, nie doskoczyłyby, choćby się w ogony gryzły dla zapędu. Potarłem podbródek w zamyśleniu. Nie mogłem zostawić kolegi w nieszczęściu; ostatecznie, gdyby rzeczywiście był ranny, mógłbym go wziąć na barana.
Musiałbym dopaść do połamanych krzewów rosnących tuż koło lipy. Z nich bez problemu przeskoczyłbym do czekającego na ratunek skrzata. Przed kępą wystawał spory kamień. Za kamieniem śnieg już stratowany, ubity, nie musiałbym bać się ugrzęźnięcia. Hopsa i już byłbym przy krzewach. Tyle tylko, że do kamienia miałem co najmniej dwa skoki. Czyli wyglądałoby to tak: hopsa, grzęźniemy, nic nie widzimy, i dalej lecimy na oślep. Bez sensu.
Wreszcie doszedłem do wniosku, że siedząc w takim zimnie, i tak niczego nie wymyślę. W takim wypadku równie dobrze mogę spróbować pójść na żywioł i mieć nadzieję, że wszystko samo się jakoś ułoży. Zagwizdałem i podniosłem się na gałązce, strzepując na ziemię kawał śniegu. Jeden z wilków, potężny, czarny basior, poderwał zad i nieśpiesznym truchtem podbiegł pod drzewko, na którym siedziałem. Węszył długo, podnosząc jedną łapę i zadzierając pysk do góry. W końcu przysiadł i kłapnął paszczą.
— Owocnych łowów, myśliwcze — pozdrowiłem go, pochylając lekko głowę. Złapałem gałąź rosnącą nade mną i spróbowałem ją do siebie przyciągnąć. — Co się stało, że wilcze plemię poluje na wiewiórki?
Wilk przywarował pod drzewem i ocenił wzrokiem odległość, która nas dzieliła.
— Nie twój zasrany interes, psi bracie — warknął. — Spadaj.
Niekoniecznie chciał mnie obrazić, nazywając mnie „psim bratem”; specjalne stosunki łączące nas z udomowionymi kuzynami wilków były dość powszechnie znane. To znaczy, pewien nie jestem; z wilkami nigdy nic nie wiadomo.
— Żebyś mnie zeżarł? Nic z tego, szlachetny myśliwcze. — Wstałem i przeszedłem się, próbując złapać gałąź powyżej. Pociągnąłem ją mocno do siebie, a potem zahuśtałem się na niej. — Nie lepiej by było poszukać jakiejś lepiej odżywionej zdobyczy?
Wilk obnażył kły i kłapnął paszczą. Nie przejmując się nim za bardzo, wyciągnąłem zza pasa mieczyk.
— Szukasz śmierci, psi bracie? — warknął szlachetny myśliwy. Wzruszyłem ramionami, piłując gałązkę. — Całe życie chcesz na drzewach spędzić? Nie wystawiaj cierpliwości plemienia myśliwych na próbę, kundlu.

— Zaczekaj jeszcze chwileczkę… — poprosiłem i zahuśtałem się jeszcze raz na gałęzi. — Mam, widzisz, pewien plan. Na pewno ci się spodoba.
Wilk przechylił głowę i węszył, nie spuszczając ze mnie swoich ślepi. Nie odpowiedział, ale też nie odchodził. Ja w tym czasie zawzięcie rąbałem i piłowałem. Stępię sobie miecz, pomyślałem. A tyle było roboty z ostrzeniem…
— Co robisz? — zapytał wreszcie wilk.
— O, zaraz zobaczysz — zapewniłem go, kręcąc gałązką. — To jest część mojego planu. Spodoba ci się. Szkoda, że szyszek nie mam, jeszcze bardziej by ci się spodobało.
— Nie zapali się — powiedział. — Jeżeli ten plan ma polegać na straszeniu ogniem, to możesz dać sobie spokój, skrzacie.
— Och, ależ nigdy nawet nie próbowałbym straszyć dzielnego plemienia wilków. — Gałązka wreszcie się urwała. Odrąbałem kilka bocznych pędów i strzepnąłem na dół igły. Będzie w sam raz, oceniłem.
— Nie wiedziałem, że skrzaty mają tyle siły. — W głosie wilka dało się wyczuć uznanie. Już nie warczał. Moje wysiłki wyraźnie go zafascynowały. — Czy ta gałązka nie jest dla ciebie za ciężka?
— Dziękuję za troskę, szlachetny myśliwy. — Ukłoniłem się i uśmiechnąłem, wyważając gałąź w rękach. — Dobrze, to już wszystko. Możesz już iść.
Wilk warknął i przysiadł na zadzie, najwidoczniej oceniając dzielącą nas odległość i zastanawiając się, czy dałby radę do mnie doskoczyć. W końcu odwrócił się i pobiegł w kierunku drzewa, rosnącego samotnie na środku polany. Jeszcze chwilka… jeszcze chwilka… Hopsa!
Pierwszy skok na grzbiet biegnącego wilka. Zaskowyczał i dał susa w powietrze, a potem zakręcił się w miejscu, kłapiąc paszczą i próbując mnie strącić z grzbietu. Ale mnie już tam nie było. Zgodnie z planem, drugi skok na kamień… i niezupełnie zgodnie z planem wykonałem elegancki ślizg prosto w śnieg, nakrywając się nogami. Kto mógł przypuszczać, że kamień będzie oblodzony.
Szybko się podniosłem. Wilk jest już przy mnie — nie wiem, ten sam, któremu skoczyłem na grzbiet, czy inny — już czuję odór z rozwartej paszczy. Zwija się w powietrzu, usiłując złapać zębami gałąź, którą mu rzucam, i wpada za nią w śnieg. Ja w tym czasie daję dwa niezdarne susy. Inne wilki już się orientują, że gryzą gałąź, i pędzą do mnie. Nie dam rady uciec, przemyka mi przez głowę, wyskakuję pół stopy prosto w powietrze i spadam na łeb próbującego mnie pożreć wilka. Strząsa mnie w śnieg, przewracam się, jego kły mijają mi czuprynę o nie więcej niż pół cala. Tuż obok mnie jakaś włochata łapa, tnę na oślep mieczykiem — skowyt, zdaje się, trafiłem — kulam się, wstaję, gdzie mój miecz? Macam dokoła gorączkowo, nie mam czasu szukać, skok.
Wilki jeszcze przetrząsały śnieg i węszyły w nim, gdy ja już siedziałem na pierwszej gałęzi drzewa.
— Hej, braciszkowie! — zawołałem wesoło, gdy tylko złapałem oddech. — Tu jestem!
— Świnie ci braćmi, nie my! — warknął jeden z wilków. Wszystkie doskoczyły do drzewa i przez chwilę skakały, uwieszając się całym ciałem na niżej zwieszonych gałęziach.
— Zęby sobie połamiecie — zatroszczyłem się, ale wilki mnie zignorowały. W końcu dały sobie spokój i przywarowały przy drzewie. Gdyby spojrzenia mogły palić, w jednej chwili na ziemię spadłyby moje popioły. Pomachałem im dłonią i rozejrzałem się za kolegą niezdarnym skrzatem. Zawołałem do niego i nie czekając na odpowiedź, wdrapałem się na jego gałąź.
— Co tam, braciszku, chyba sobie tutaj razem posiedzimy — zagaiłem wesoło, przysuwając się do nieznajomego skrzata. Chciałem jeszcze dodać, że jest mi winien sztukę srebra za mój zagubiony mieczyk, ale on odrzucił kaptur, spod którego wypadły długie złociste włosy i…
Po dłuższej chwili dotarło do mnie, że stoję z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami. To nie był skrzat. To w ogóle nie był „on”.
— Przepraszam — powiedziała, i wyglądała, jakby naprawdę było jej przykro. Mówiła po szkierbsku, ale miała miękki, śpiewny akcent. — Nie chciałam, żeby tak wyszło. Co się stało? Nie mówisz po szkierbsku? — zagruchała potem jakiś innym narzeczem, tak samo miękko i śpiewnie.
— Jesteś elfką — wykrztusiłem wreszcie.
— Nie, nie jestem — podkreśliła tupnięciem nogi, aż na nosy warujących niżej wilków spadła chmura śniegu. — Jestem wróżką kwiatową. Mam na imię Faery. A ty?
— Bury — bąknąłem. Czułem, że się czerwienię i było mi strasznie głupio. — Nazywam się Bury…

Skrzat Bury. Wróżka kwiatowa? Nigdy nie słyszałem o czymś… o kimś takim.
— Przyjechałam z rodziną z Tir Connaracht. Tatko słyszał, że pszczelarze dają zarobić duszkom kwiatowym, a u nas bieda aż piszczy.
— To gdzieś na południu? — zapytałem, chociaż oczywiście wiedziałem, że to nie jest na południu. Nigdy nie słyszałem takiego akcentu. Bardzo mi się podobał. Szkierbski w jej ustach brzmiał jak poezja — tak, wiem, trudno w to uwierzyć. Zwykle nie jest łatwo zdecydować, czy przyjemniej jest słuchać szyby rysowanej kamieniem, czy Szkierba i jeżeli nawet przesadzam, to niewiele. Ale ona nadawała lekkości chropowatym słowom, tak że wylatywały z jej ust jak motyle, jak płatki kwiatów, jak… zaraz, zdaje się, że zadała mi jakieś pytanie.
— Przepraszam — bąknąłem, czując, że płoną mi policzki. — Nie zrozumiałem. Możesz powtórzyć?
— Nigdy nie słyszałeś o Tir Connaracht? To dziwne — mała wróżka westchnęła melancholijnie i zapatrzyła się gdzieś, w jakiś punkt za horyzontem. — Zanim opuściłam naszą wyspę, myślałam, że to centrum świata.
Mówiła dalej, a ja upajałem się dźwiękiem jej słów. Starałem się za nią nadążać. Czasami wtrącałem jakieś głębokie sformułowanie. Chciałem zrobić na niej wrażenie inteligentnego i uważnego słuchacza.
Wróżka chętnie odpowiadała na moje pytania, a miałem ich bardzo dużo. Jej rodzina mieszkała w Dun Coen, osadzie rozłożonej szeroko na niewysokich, pokrytych wrzosami wzgórzach. Domy stały tam daleko jeden od drugiego, zupełnie jak gromada poobrażanych na siebie dzieci. Ludzie zajmowali się głównie pasterstwem, pijaństwem i porywaniem sobie nawzajem owiec. Wróżki kwiatowe zajmowały się głównie pomaganiem w ogrodach i dbały o rozwój sadów (aha, czyli mieliście też sady, wtrąciłem wtedy i pokiwałem głową). Z początkiem wiosny pobratymcy mojej rozmówczyni ruszali śpiewać na pastwiska, pomagając budzić się do życia trawie na wzgórzach. Niczego nie brakowało im do szczęścia, dopóki do osady nie dotarły nowe czasy.
Wybudowano semafor i budkę sygnalisty. Wędrowni nauczyciele przekonywali mieszkańców do pozbycia się przesądów. Wreszcie, w ramach podwyższania poziomu życia wszystkich mieszkańców, sprowadzono z Kitaju nowe rośliny. Miały być uprawiane w oparciu o naukowo opracowane metody i wszyscy cieszyli się na obiecane przez rząd wielkie zyski, przeliczając je od razu na owce i butelki bimbru. Dodatkowo, wyspa raz na zawsze miała zostać uwolniona od okresowych głodówek, które od niepamiętnych czasów dręczyły spokojny — a przynajmniej spokojny, kiedy trzeźwy i nie poszukujący akurat ukradzionych owiec — ludek Dun Coen.
Niestety, importowane rośliny nie chciały się przyjąć ani na suchych wzgórzach wokół Dun Coen, ani na polach rozłożonych na brzegach wijącej się między wzgórzami rzeki Dunan. Mające im pomóc zaklęcia i śpiewy wróżek (i wróżów, albo może wróżków) okazały się kompletnie nieprzydatne. Niektórzy nawet twierdzili, że to właśnie czary zaszkodziły uprawom. Kitajskim roślinom potrzebne są kitajskie zaklęcia, mówili ludzie, kiwali mądrze głowami (zupełnie jak ja, kiedy tego słuchałem) i patrzyli z ukosa na wróżki. Tak więc owego roku nie obyło się bez tradycyjnej głodówki, wielu zmarło, a chociaż ostatecznie nie brano za złe wróżkom ich bezradności wobec importowanych roślin, zostało w ludzkich sercach zasiane ziarno niechęci. Ojciec Faery coraz rzadziej wzywany był na pastwiska i do sadów, i w domu wróżek zaczęło brakować drobnych, przynoszących radość w życiu luksusów.
Z tego, co mówiła, wynikało, że w Tir Connaracht wybuchła zaraza. Ludzie nauki zabrali się do jej leczenia, oczywiście naukowo i nowocześnie, tępiąc przy okazji przesądy. Za choroby, wyjaśniali dobrodusznie maluczkim, odpowiedzialne są najmniejsze istotki, niewidoczne gołym okiem. Coś tam jednak pomieszało się w przekazie i maluczcy uznali, że za choroby odpowiedzialny jest mały ludek. Zanim oświeceni ludzie nauki zorientowali się w nieporozumieniu, po wsiach i miasteczkach powyznaczano nagrody za głowy duszków kwiatowych i innego drobiazgu. Oczywiście, zamieszanie nie trwało długo, rząd interweniował, wygłaszano mowy, drukowano obwieszczenia, wypłacano nawet odszkodowania rodzinom zabitych duszków. Było jednak już za późno. Problem polegał na tym, że lud Tir Connaracht był bardzo uparty, a na dodatek niepiśmienny. Jak Connar raz coś sobie wbije do głowy, trudno potem to z tej głowy wyciągnąć, tłumaczyła Faery. Tak więc do biur

wypłacających odszkodowania wciąż się zgłaszali wieśniacy z workami wypchanymi zimnymi, małymi ciałkami. Urzędnicy oczywiście łajali wieśniaków, urządzali duszkom piękne pogrzeby i bez zbędnych formalności wypłacali zadośćuczynienia rodzinom. Odszkodowania były dość wysokie, a pogrzeby naprawdę wspaniałe, ale tatko Faery w końcu uznał, że nie ma co ryzykować. Usłyszał, że na wschodzie mały ludek dobrze sobie radzi pod rządami jego cesarskiej, królewskiej i wielo-książęcej mości Jana-Johanna Fryderyka. Przedyskutowano sprawę w ramach klanu i tatko, wraz z kilkoma wujami, ciotkami i ich pociechami, załadował się na parowiec i ruszył szukać lepszego losu na obczyźnie.
— Wiesz, nie chcę wyjść na nielojalnego poddanego, ale tak naprawdę to wcale nam tutaj nie jest tak dobrze — przerwałem jej opowiadanie, drapiąc się po podbródku. — Na ten przykład, ja muszę zarabiać na życie polowaniem na szczury, zamiast, jak na skrzata przystało, przeganiać duchy nie dające dzieciom spać.
— Ale nikt wam nie urządza pogromów — powiedziała Faery. — Lepiej żyć biednie, ale w spokoju.
— No, psami mnie też szczuto. — Po prawdzie, nic sobie ze szczucia psami nie robiłem, bo psy i skrzaty są z sobą bardzo blisko związane i żadnej krzywdy jedno drugiemu nigdy nie wyrządzi.
Że nie jest małemu ludkowi aż tak różowo pod rządami Jana-Johanna, imigranci zorientowali się już w porcie w Beregborgu. Nawet nie chodziło o ludzi, ludzie najzwyczajniej w świecie ich nie zauważali. Gorzej było z miejscowymi bożętami, kłobukami i resztą miejskiego drobiazgu, którym nie w smak była zwiększona liczba konkurentów do nielicznych zajęć dostępnych dla obywateli cesarstwa o wzroście dużo poniżej średniej. Rodzina Faery, chociaż nieco rozczarowana, postanowiła jednak nie wracać do ojczyzny. W decyzji utwierdziła ich przesyłka zawierająca oficjalne kondolencje od rządu Tir Connaracht oraz odszkodowania za tę część familii, która nie zdecydowała się na emigrację. To właśnie w Beregborgu dowiedzieli się od przygodnego podróżnika, że na usługi duszków kwiatowych czekają z otwartymi rękoma w Białym Księstwie Derewińców. Zebrali więc swoje tobołki i ruszyli w podróż.
— Czy tu zawsze jest tyle śniegu? — zapytała, poprawiając złoty lok opadający jej na czoło. — To dlatego księstwo nazywa się białe?
— Nie… To znaczy chyba nie. Nie wiem. To znaczy, jasne, że nie zawsze jest tutaj tyle śniegu. Ale Derewińcy mają też księstwo na południu, i nazywa się to księstwo: czerwone. A poza granicami cesarstwa, na wschodzie, gdzie śnieg leży nawet dłużej niż tutaj, też są Derewińcy, ale nazywają ich czarnymi.
— Jak to? — zdziwiła się wróżka. — Oni są czarni? Jak Maurowie?
— Nie wiem, jakiego koloru są Maurowie, ale wszyscy Derewińcy są tacy sami. Normalni ludzie, jak wszędzie. — Zastanowiłem się chwilę. — Chciałem powiedzieć, jak wszędzie w cesarstwie. Wszystko jest tutaj takie inne, wiesz? Zupełnie, jakbym była w obcym świecie. Na księżycu. A przecież wystarczy niecały rok podróży i już bym była z powrotem w Tir Connaracht.
Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Dziewczyna zadrżała, więc zdjąłem płaszcz i opatuliłem ją, przysuwając się bliżej. Spojrzała na mnie z wdzięcznością.
— I jak udało wam się z tymi pszczelarzami?
No więc nie do końca się udało, jak wynikało z dalszego opowiadania wróżki. Pszczelarze dopiero od przybyszów usłyszeli, że ich potrzebują. Sceptycznie podchodzili do ich oferty pomocy. Nie mieli zaufania do współpracy z mężczyznami, którzy mają skrzydełka, długie złociste włosy i na których nie wiadomo, czy mówić „wróżka”, „wróż”, czy też „wróżek”.
— To wy macie skrzydełka? — zdziwiłem się, a kiedy wróżka kiwnęła energicznie głową, nieco się zdenerwowałem. — To po jaką cholerę, proszę ja ciebie, odmrażasz sobie tyłek na tym drzewie, a ja razem z tobą?
— Na mrozie nie działają — wyjaśniła dziewczyna markotnie. — Poza tym, łatwo je uszkodzić. Odmroziłabym, jakbym nie miała ochraniaczy.
Przyjąłem do wiadomości.
— Ojciec był bardzo zmartwiony. Mówił, że jak mamy tutaj żyć, skoro nikt go nie traktuje poważnie tylko dlatego, bo ma skrzydełka. O te skrzydła najbardziej chodzi, bo włosy można ostatecznie

skrócić. A skrzydła?
— A jak twój ojciec z nimi rozmawiał, po szkierbsku? — Dziewczyna potwierdziła, więc pokiwałem mądrze głową. Już mnie szyja bolała od mądrego kiwania głową. — No właśnie. To raczej chodziło o to, a nie o skrzydełka i loczki. Widzisz, miejscowi nie za bardzo lubią Szkierbów. Jakoś w cesarstwie mało kto ich lubi. Sami Szkierbowie też nawzajem się za bardzo nie lubią.
— Dlaczego?
— No wiesz… — stropiłem się. Właściwie sam nie wiedziałem. — Chyba dlatego, bo są tacy aroganccy i pewni siebie. Uważają, że to oni stworzyli cesarstwo. Nieważne zresztą. Opowiadaj dalej. Rodzina Faery nie znalazła więc popytu na swoje usługi i nie mogła nigdzie zagrzać miejsca na stałe. Nie przestawali próbować wkraść się w łaski pszczelarzy, ogrodników i sadowników, ale zima przerwała ich wysiłki. Pan sąsiedniej wsi zgodził się przezimować ich w swoim folwarku. Niestety, pogoda oraz niepowodzenia w próbach zdobycia fortuny nadwyrężyły zdrowie ojca Faery. Zmogła go choroba i leżał nieprzytomny, dręczony gorączką.
— Dręczony gorączką? — zdumiałem się. — Jak to? Wy chorujecie?
— W rodzinnym kraju to się nam nie zdarza. Przynajmniej nigdy przedtem o czymś takim nie słyszałam. Nie jesteś pierwszym z małego ludku, który twierdzi, że to niemożliwe.
— Wcale nie twierdzę, że to niemożliwe — zaprotestowałem. — Nie wiem niczego o wróżkach… to znaczy wróżach… niczego nie wiem o twoim rodzaju. Po prostu skrzaty, koboldy, gnomy, ubożęta i tak dalej nie chorują. Nigdy.
— Wiem. — Faery wzruszyła ramionami. — Gumiennik twierdzi, że ta choroba przydarza się tylko w jego kraju i tylko obcym przybyszom.
— Gumiennik? — Zaświtało mi coś w głowie. — Masz na myśli takiego wrednego, garbatego dziada, mieszkającego w oborze?
— Nie jest garbaty, a mieszka w stodole. Chociaż faktycznie trochę zatrąca od niego oborą. Wredny też nie jest. Poradził mi, jak znaleźć lekarstwo na chorobę ojca.
Miałem ochotę palnąć się otwartą dłonią w czoło. Gumiennik, z dobroci serca, radzący obcej przybłędzie, jak uzdrowić ojca? Wzruszył się może biedaczek, co?
— Nie masz wredniejszego domowego drobiazgu nad gumienniki —pouczyłem wróżkę. — Łatwo się obrażają, a kiedy się obrażą, potrafią gospodarzowi nasrać w ziarno. Ba, nie dość, że nasra. Jeszcze ziarnem przysypie. Rozumiesz, żeby gospodarz nie zorientował się za szybko. Zdarza się, że i stodołę podpalą.
— Taki zły jest gumiennik? Nie wierzę.
— No, z natury nie jest zły — przyznałem. — Jak jest w dobrym humorze, potrafi przegonić złodziei, ochronić zboże przed szkodnikami, skłonić pioruny, by stodołę omijały. Tyle tylko, że gumienniki to charakter mają paskudny. Widzisz, niscy są nawet jak na mały ludek, i nadrabiają brak wzrostu drażliwością. Wszędzie węszą obrazę. Cały czas podejrzewa taki, że się z niego naśmiewają. To przez tę dziwną manierę mówienia, wiesz, niektórzy twierdzą, że gumiennik, jak usta otworzy, to szczeka. Wejdziesz do stodoły, powiesz takiemu „dzień dobry” i bach – masz śmiertelnego wroga. Co gorsza, w twarz dalej będzie ci się fałszywiec uśmiechał i czym go obraziłeś, nie powie. Dziewczyno, od gumienników najlepiej z daleka.
— Ale to on mi poradził, jak ojcu pomóc — upierała się dziewczyna.
— Poradził, poradził, ciekawe co. Idź do lasu, moje dziecko, i przynieś ojcu dziesięć wilczych ogonów. A nie zapomnij rwać na żywca i to koniecznie u samej nasady. Zgadłem? Czy może wymyślił coś jeszcze mądrzejszego?
— Jesteś złośliwym, zawistnym skrzatem — obraziła się Faery i odwróciła buzię. — Nic więcej ci nie powiem.
— W porządku — zgodziłem się i zamilkłem. Byłem pewien, że Faery nie wytrzyma, i miałem rację.
— Gałązka z krzewu koło świętego drzewa — powiedziała.
— Co, gałązka?
— Powiedział, że muszę pójść do lasu, uciąć z krzewu rosnącego koło świętego drzewa gałązkę, wrzucić do gotującej wody i dać potem ojcu wywar do wypicia.

— A to święte drzewo to niby ten na pół uschnięty truposz, na którym siedzimy? — upewniłem się. — Boże, jak można być tak naiwnym. A wiesz ty, że na mały ludek wywar z tego tam krzaka działa przeczyszczająco? Przenicowałoby twojego staruszka, że hej. Gacie to by mu nie tyle spaskudziło, co spruło, to znaczy, jakby ich zdjąć nie zdążył. A pewnie by nie zdążył. Miałabyś nauczkę, słuchać gumiennika. Założę się o własne uszy, że choroba twojego ojca to też sprawka tego milusińskiego.
— Kazał mi pójść najpierw do lasu, zawołać leszego i poprosić go o pozwolenie — kontynuowała wróżka, nie zwracając na mnie uwagi. — Leszy się zgodził, uśmiechnął się nawet, szczęścia mi życzył. Po drodze spotkałam wilki, pytają mnie, za czym idę, więc tłumaczę, że po gałązkę z krzewu rosnącego koło świętego drzewa, że leszy mi pozwolił. Oni pytają, który leszy, więc im tłumaczę, jak kto który, Wodewis, ten, co tym lasem rządzi. A one wtedy jakby się wściekły…
— Chyba się już domyślam, o co chodzi. — Westchnąłem i wychyliłem się do wilków siedzących na dole. — Hej, koledzy!
Nawet nie zawarczały.
— Nikt ciebie nie uprzedził, że w tym lesie mają dwóch leszych? — Sądząc po jej minie, nie zrozumiała. Westchnąłem. — Dwóch leszych, jeden las. Popierasz jednego, jesteś wrogiem drugiego.
— Ale ja żadnego nie popieram. Chcę tylko zanieść gałązkę dla mojego ojca.
— Zdawało mi się, że już ustaliliśmy, że gumiennik zrobił cię w jajo z tymi gałązkami — mruknąłem.
— Poprosiłaś jednego z leszych o pozwolenie. A drugiego nie. Czyli…?
— Czyli, że nie wiedziałam, że trzeba obu prosić o pozwolenie.
— No, to teraz już wiesz. Ech, dziewczyno… — klepnąłem ją po ramieniu i uśmiechnąłem się. — Nie martw się. Jakoś cię z tego wyciągnę.
Po prawdzie, nie miałem pojęcia, co robić. W tego rodzaju sytuacjach zazwyczaj po prostu siedzę i spokojnie czekam, aż wszystko samo się jakoś ułoży. Zwykle się układa. Głupio mi jednak było proponować takie rozwiązanie zagranicznej wróżce, tym bardziej że jej ufne spojrzenie sugerowało większe oczekiwania wobec mnie. Z kłopotu wybawiły mnie dobiegające z gęstwiny odgłosy łamanych gałęzi. To nadchodził ON. Niedźwiedź. Wilki z szacunkiem rozstąpiły się przed nim, pochylając łby. Aha, jest i leszy.
— Teraz cicho, ja będę mówił — powiedziałem szeptem, ale z naciskiem, i uścisnąłem małą rączkę wróżki. — Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Bądź pozdrowiony, władco tego lasu!
— Władco? — zahuczał leszy, aż śnieg posypał się z gałęzi. — Teraz władco? A słyszał ci ja, że wy wroga mojego wolicie ode mnie, a?
— Wybaczcie nam, łamiący dęby mocarzu! Musicie wiedzieć, że to niewinne dziecko siedzące obok mnie przybyło tutaj z dalekiej krainy. Podstępna i podła osoba wykorzystała naiwność dziecka, płatając mu złośliwego figla. A przecież pragnęło ono tylko lekarstwa dla swojego ojca…
— Z dalekiej krainy? A ona mowy naszej nie zna, że za nią gaworzysz?
— Istotnie, strach budzący władco.
Leszy przekrzywił łeb i podniósł się. Jego tylne łapy wydłużyły się, pysk skrócił, i oto stał przed nami sympatyczny, chociaż nieco zbyt kudłaty i nieco zaniedbany, krępy mężczyzna, na oko mający nieco ponad pięćdziesiąt lat.
— A kim ona jest? Szkierbski zna? Kim jesteś, niewinne dziecko? — Ostatnie pytanie leszy wyzgrzytał po szkierbsku.
—To duszek kwiatowy — wyjaśniłem za Faery. — Pochodzi z odległego miejsca, z wyspy zwanej…
— Duszek kwiatowy? — przerwał mi leszy, uparcie trzymając się szkierbskiego. — A może mi ona, dziecina niewinna, kwiat przynieść?
— Kwiat? W zimie? — Trochę mnie zatkało. — No…
— Obiecasz i przysięgniesz, że kwiat mi przyniesiesz, wolno was puszczę. Możesz mi kwiat przynieść, duszku?
— Raczej nie — zmartwiła się uroczo Faery.
— Raczej nie od razu — wpadłem jej w słowo. — Wiecie, zima. Nawet kwiatowej wróżce może to zająć trochę czasu.
— Ale przysięgniesz, że mi przyniesiecie kwiat? Musi być piękny, kolorowy i pachnący.

— Zajmie to trochę czasu, jak mówiłem, ale klnę się na brodę mojego dziadka, że przyniosę.
Leszy kiwnął głową i opadł na ziemię. Po chwili pod drzewem znowu stał zwykły, kosmaty niedźwiedź. Odwrócił się w stronę lasu i pobrnął przez śnieg, kołysząc się niezdarnie. Stado wilków potruchtało za nim.
— Tadaaa — powiedziałem wesoło. — Mówiłem, zdaj się na mnie.

***

— Jak mogłeś! — Faery cudownie wyglądała, kiedy się złościła. — Jak mogłeś go tak okłamać!
Zdążyłem już poznać całą rodzinę wróżów… wróżków… to znaczy, całą rodzinę Faery. Było ich ośmioro, nie licząc uratowanej przeze mnie bohatersko dziewczyny. Bo jakoś tak wyszło, że zostałem bohaterem, przynajmniej tak mnie traktowali wujkowie i ciotki Faery. Przywitałem się z jej ojcem, życząc mu uprzejmie szybkiego powrotu do zdrowia oraz wysłuchując długiej litanii podziękowań. Rzecz jasna przedstawiłem się również właścicielowi folwarku, Riazańskiemu. To był rześki, pełen energii grubasek, nie mający cierpliwości do słuchania długich, tradycyjnych powitań. Z tego powodu od razu go polubiłem. Faery dogoniła mnie w chwili, w której zapoznawałem się z psami dworskimi, pozwalając każdemu dokładnie obwąchać moją czuprynę i próbując przy tym uniknąć polizania.
— Nie okłamałem go — odpowiedziałem, nie zwracając uwagi na blondwłose zjawisko i kierując się w stronę obory. — A teraz wybacz, obowiązki wzywają. Słyszałem, że mają tutaj dobrochota. Muszę mu złożyć wyrazy uszanowania, nie wiesz, gdzie go znaleźć?
— Nie zmieniaj tematu!
— Oj, nie złość się tak. Powiedziałem też, że to może zająć nieco czasu — podkreśliłem. — Stało się coś wielkiego? Przyjdzie wiosna, pójdziesz na łąkę, narwiesz mu co bardziej kolorowych chwastów i zmartwienie z głowy. Wielkie rzeczy, trochę sobie poczeka.
— Wiesz dobrze, że to oszustwo! — Wróżce zadrgała dolna warga. — A wyglądałeś na takiego uczciwego skrzata! I jeszcze na dodatek, kląłeś się na brodę dziadka. Nie będzie ci teraz wstyd, jak dziadek wyłysieje?
— Jaki dziadek, dziewczyno, o czym ty mówisz? — zdenerwowałem się. — Nie wyłysieje, bo, po pierwsze, skrzaty bród nie noszą, a po drugie, nie mam dziadka.
— Nie masz? — Wróżka zmarszczyła brwi. — A ojca?
— Ani ojca, ani matki.
— Sierota! — Wróżka załamała rączki. O tym, że jest na mnie zła, chyba już zapomniała.
— Żaden tam sierota. Nigdy nie miałem matki. Skrzaty się nie rodzą. — Zastanowiłem się chwilę. No, w pewnym sensie można by powiedzieć, że miałem ojca i matkę; to znaczy, nie łatwo rozstrzygnąć...
— A teraz przepraszam, ale muszę do obory. A potem do stodoły, porozmawiać sobie z pewnym panem milusińskim.
Wróżka nie dała mi jednak spokoju i poszła za mną, litując się nad moim losem sieroty. W innych okolicznościach byłoby to nawet przyjemne i chętnie bym się zgodził na jej towarzystwo, zwłaszcza że głos miała tak piękny, że z ochotą bym jej słuchał, nawet gdyby mi obwieszczała wyrok śmierci. Nie chciałem jednak, by była świadkiem mojej rozmowy z gumiennikiem. Nie wiem dlaczego, ale czułem, że mogłaby źle o mnie pomyśleć, a jakoś tak wydawało mi się bardzo ważne, żeby myślała o mnie dobrze.
Ostatecznie poddałem jej pomysł, żeby popytała panią Riazańską o ziarna kwiatów i spróbowała znaleźć sposób na wyhodowanie pięknych, kolorowych kwiatów dla leszego. Wróżce zabłysły oczy i natychmiast mnie zostawiła, aż zrobiło mi się trochę przykro. Potem westchnąłem, obciągnąłem na sobie ubranie i wkroczyłem do stodoły.
— Gumienniku! — wrzasnąłem, nie bawiąc się w żadne „dzień dobry”. I tak mnie znielubi, więc po co się starać. — Wyłaź, bo za brodę wyciągnę!
W kącie zamajaczyło coś wrednego i kurduplowatego. Przypadłem tam w kilku skokach.
— My się znamy? — ostrożnie zapytał gumiennik. Obrzuciłem go wyniosłym spojrzeniem. Był niski,

brzuchaty, porośnięty czarnymi kudłami.
— Słyszałem, żeś się zabawił kosztem gości z obcego kraju — powiedziałem. — Nie podoba mi się to, panie gumiennik. Oj, nie podoba mi się.
— Ja? — zdziwił się fałszywie. — Ja ze stodoły nie wyłażę.
— Jasne. A powiesz mi, dlaczego ojciec małej wróżki Faery słabuje?
— A, mała wróżka Faery — zmrużył wąskie oczka i uśmiechnął się, niby to przyjaźnie. — No co ja poradzę, że obcy u nas cosik często chorują.
— Zwłaszcza jak im w tym pomogą spolegliwi tubylcy, nie? A kto, powiedz mi — podparłem się pod boki i spojrzałem na brzuchacza z całej wysokości moich pięciu cali. — Kto poddał małej, kochanej wróżce Faery, by poszła do lasu po gałązkę świętego drzewa?
— Coś się stało biedaczce? — zainteresował się kudłacz, niby to troskliwie.
— Nic się nie stało, bo ja przy niej byłem. Ale mogło się stać. Zapomniałeś jej powiedzieć, że macie tutaj dwóch drących koty leszych.
— To oni się biją? — udał zaskoczenie się brzuchacz. Nie wytrzymałem i złapałem go za brodę. Skrzat umie dźwignąć kamień dwa razy od siebie cięższy i przerzucić go ponad chałupą. Podniesienie gumiennika, choćby nie wiem jak grubego, to dla skrzata fraszka.
— Zostaw! Zostaw! — zaskrzeczał, próbując się uwolnić. — Ja ci dam! Ty mnie jeszcze nie znasz!
— Zostawię, jak przestaniesz tutaj wystawiać przedstawienie pod tytułem „niewinny, nie wiedzący, co się poza stodołą dzieje, prosty kmiotek”. Po pierwsze…
— Ty jeszcze nie wiesz, na co mnie stać! — gumiennik odskoczył i sprawdzał, czy dużo mu zostało z brody. — Ja się umiem zamienić w kota!
— Szczekający kot, to dopiero będzie widok — palnąłem bez zastanowienia. Gumiennik zrobił się cały czerwony. — Oj, nie męcz się tak, bo ci w środku coś pęknie. A teraz słuchaj… stój! — dopadłem go jednym skokiem i przytrzymałem za kołnierz. — Po pierwsze, zaraz tu ma być odtrutka dla słabującego duszka. Po drugie, jeszcze raz urządzisz coś takiego, to ogolę cię na łyso moim mieczem…
— Jakim mieczem? — jęknął przerażony gumiennik, a ja zdębiałem. Faktycznie, zapomniałem o mieczu. Zastanowiłem się przez chwilę i przypomniałem sobie, że ostatni raz widziałem swoją broń leżącą na polanie w lesie, gdzieś w śniegu, między kłębiącymi się wilkami. Skląłem szpetnie własną głupotę, trzepnąłem w ucho gumiennika, żeby się nie wyrywał, i myślałem, jak to możliwe, że dopiero teraz przypomniałem sobie o mieczyku?
Postaraj się teraz, skrzacie, zastanowić nad sobą. Bez emocji, logicznie, jakbyś stał z boku i obserwował kogoś innego. Zgubiłem mieczyk i nawet tego nie zauważyłem, a teraz robię sobie śmiertelnego wroga z gumiennika. Nie ma innego wytłumaczenia, doszedłem do wniosku, policzkując wyrywającego się brzuchacza. Trudno w to uwierzyć, przecież ja swoje lata już mam, ale najwidoczniej zgłupiałem jak zwykły szczeniak.
— Posłuchaj, mały — powiedziałem łagodnie i puściłem go, pomagając mu poprawić potarganą odzież. — Nie wstyd ci? Przecież to goście. Niczym ci nie zawadzają, do stodoły nie wchodzą. A gdyby któremuś krzywda się stała, nie boisz się, że reszta by ci gnaty poprzetrącała? Ja wiem, że duszki wyglądają niewinnie, ale to tylko pozór. Spójrz na mnie, ja też wyglądam niewinnie, prawda?
— Nie — zaprzeczył gumiennik gwałtownie.
— Prawda, prawda. Taki na oko nieszkodliwy, miły skrzat, a krzywdę może zrobić, jak ktoś mu na odcisk nadepnie. Zwróć przy tym uwagę, ja jestem jeden, a ich jest cała gromada. Nie lepiej żyć z nimi w zgodzie? Dobrze, na koniec jeszcze jedna sprawa, która nie daje mi spokoju…
A sprawa była taka: o tym, bym nie wplątał się w kłótnię między leszymi, uprzedzano mnie już we wsi, którą odwiedziłem dzień wcześniej. Przyjąłem to wtedy po prostu do wiadomości i nie dopytywałem się dalej. Ot, biją się dzikusy z lasu, wielka mi nowina. Teraz jednak chciałem wiedzieć więcej.
Wszystko zaczęło się trzy lata temu, powiedział ponuro gumiennik. Wcześniej w lesie panował spokój i błoga cisza, przynajmniej w porównaniu do tego, co się dzieje teraz. A teraz dzieje się tak, że ludziom strach do puszczy chodzić. Drwale idą tylko całą gromadą, a i to wracają czasami

pokaleczeni. Jak złożą ofiarę jednemu leszemu, drugi się obrazi i zrobi wszystko, żeby spłatać im psikusa. Złożą ofiarę obu, jeszcze gorzej, bo wtedy obrażają się obaj. Zwierzyna wypłoszona, drogi co chwila zawalają drzewa, nawet na grzyby pójść się nie da, bo wszystkie robaczywe.
Nie chciało mi się wierzyć, żeby to ciągnęło się już trzy lata, ale gumiennik zapewniał, że nie kłamie. Trzy lata! Tak długo trwająca wojna między leszymi dała mi do myślenia. Zazwyczaj żyją oni w jednym lesie w zgodzie. Rządzą nim wspólnie, czasami dzieląc go na dwie części i nie wchodząc sobie w drogę. Jeżeli już dochodzi do walki, to rozstrzygają ją szybko. Kilka wyrwanych drzew, jedna czy dwie bitwy między wilczymi gwardiami pretendentów do władzy - i po wszystkim. Oczywiście, tak było gdzie indziej, ale przecież tutejsi leszy nie mogli być aż tak różni od tych, których znałem. Nawet jeżeli w innych stronach zwano ich raczej laskowikami, borowymi albo borutami.
Powiedziałem to gumiennikowi.
— Och, skrzacie, to ty nie wiesz? — gumiennik wybałuszył oczy. — Leszych mamy dwóch, ale kikimorę tylko jedną.
— I co z tego?
— To z tego, że porządny leszy powinien mieć żonę jak się patrzy, a jaka lepsza żona dla leszego, niż kikimora?
— Co ja, na głupiego ci wyglądam? — zdenerwowałem się porządnie. — Widziałem kikimory kilka razy w życiu i żadna by się nie nadawała na żonę dla leszego. Są, po pierwsze, za małe, a po drugie, każdy głupi wie, że jak już się z kimś wiążą, to z domowikami.
— „Każdy głupi” toś ty jest, skrzacie. — Gumiennik spojrzał na mnie z wyraźną pogardą. — Toż nawet dziecko wie, że są dwa rodzaje kikimor. Te z lasu, jak mówisz, są małe i wolą mały ludek. A te z błot, dla odmiany, są rozmiarem w sam raz dla leszego i upodobaniami też do niego pasują. Tak więc w lesie mamy dwóch kandydatów na męża i jedną kandydatkę na żonę. A co z tego wynika?
— Wojna — mruknąłem niespokojnie. — Wojna na całego.

***

— Wojna o kobietę? — wróżka klasnęła w małe dłonie i roześmiała się. — Ach, jakie to bajkowe!
— Ja bym tego tak nie nazwał — mruknąłem ponuro. — Popytałem się po folwarku i gumiennik mówił prawdę. Dwóch leszych od trzech lat demoluje las w imię namiętności do błotnej kikimory. Ludzie mają tego wszystkiego serdecznie dość. Były pomysły wezwania żandarmerii.
— Skrzaciku kochany, nie rozumiesz? Ten kwiatek, co to go chce od nas leszy, ma być dla jego ukochanej! W środku okrutnej zimy, gdy wszystko jest uśpione pod śniegiem, jak pod białą pierzyną, on chce wybrance swego serca podarować niemożliwe — okruch wiosny!
Łypnąłem ponuro na Faery, nie będąc pewnym, czy kpi ze mnie, czy z zakochanego leszego. Trudno mi było uwierzyć, by mówiła poważnie.
— Koniecznie musimy mu pomóc, Bury — zdecydowała wróżka i zeskoczyła z pudełka na nici, na którym siedzieliśmy. —Już rozmawiałam z panią Riazańską i obiecała mi dać donicę, ziemię i nasiona. Nie wiedziałam wtedy, po co leszemu kwiat w środku zimy, ale coś mnie tknęło i prosiłam o więcej nasion. Będzie w sam raz na cały bukiet, a nawet na trzy!
— Faery, zaczekaj — próbowałem jej przerwać, ale wróżka położyła mi palce na ustach i z błyskiem w oczach mówiła dalej.
— Żaliła mi się, że tutaj żadne kwiaty nie chcą jej rosnąć, wszystkie więdną albo marnieją. Pokażę jej, co potrafi prawdziwa wróżka z Tir Connaracht! Dam z siebie wszystko, a ty, Bury, mi w tym pomożesz. Na początek…
— Nie mam zamiaru — palnąłem i złapałem ją za rękę, zanim znowu zakryła mi usta. — Słuchaj, pomożesz jednemu, to drugi się wścieknie.
— Trudno. Trzeba pomagać poetom — wzruszyła ramionami wróżka, a złote loczki zatańczyły na jej główce niczym promyki słońca.
— Poeta będzie szczęśliwy, a drugiemu złamiesz serce. Faery, może w Tir Connaracht jest jakoś inaczej, ale tutaj jest jedna, bardzo prosta i bardzo przydatna zasada: nie wściubiaj nosa w nie swoje

sprawy.
— Bury, jesteś paskudny samolub. Sam mówiłeś, że przez wojnę leszych cierpi las, i zwierzęta, i nawet ludzie. A o co jest ta wojna? O miłość kobiety. Jak jeden zdobędzie miłość kobiety, to co się stanie?
— To ten drugi zarżnie tego pierwszego.
— Nie, paskudny skrzacie. To wojna się skończy i wszyscy będą zadowoleni. O, nie myśl, że jestem trzpiotem i chcę im pomagać, bo wzruszyła mnie historia o miłości! Ja chcę dla miejscowych ludzi dobrze, a tobie to już naprawdę się dziwię, boś wszak skrzat, a skrzat ludziom powinien pomagać.
Jęknąłem w duchu i patrząc na nią, uświadomiłem sobie z przerażeniem, że zaraz razem z wróżką zabiorę się za uszczęśliwianie ludzi i jednego poetycznie nastawionego leszego. Już widzę, jakie piosenki będą układać na mój temat.
— Dobrze, spróbuję ci pomóc — skapitulowałem i również zeskoczyłem z pudełka. — Ale przecież zanim ten kwiat wyrośnie, minie trochę czasu.
— Jak się dobrze postaramy, to nie więcej niż kilka dni. Dokładniej, to zależy od…
— Wystarczy mi niedokładniej. Kilka dni. Chciałem powiedzieć, że zanim ten kwiat wyrośnie, mógłbym rozejrzeć się po lesie… pogadać z kikimorą, z oboma leszymi… I może znajdziemy inne rozwiązanie.
— Jesteś nudny — wydęła wargi dziewczyna. — Paskudny i nudny. Ale dobrze, już pójdę z tobą do tej kikimory.
Zatkało mnie na chwilkę. Gorączkowo próbowałem wymyśleć jakiś argument przemawiający przeciwko pomysłowi Faery. To musiało być coś inteligentnego, błyskotliwego, zarazem żartobliwego, pokazującego, że nie biorę jej propozycji na poważnie i ona sama również nie powinna.
— E?
— Przecież musimy to rozwiązać we dwójkę, skrzacie. Poza tym, nie myślisz chyba, że przesiedzę te wszystkie dni przy doniczce. Zanudziłabym się na śmierć. Więc, gdzie mieszka ta błotnaja krasawica? — ostatnie słowa Faery wymówiła w miejscowej, derewińskiej gwarze i jedyne, co mogłem zrobić, to pochwalić ją za dobry akcent.

***

Myślałem, że Faery posadzi tylko jeden kwiat, ale ona uparła się na kilka doniczek. Dała mi parę nasionek i kazała je zasadzić, musztrując mnie przy tym i poprawiając co chwila.
— Dlaczego sama tego nie zrobisz? — zbuntowałem się wreszcie, ocierając pot z czoła. — Albo mogłabyś poprosić swoich wujków.
— Bo te właśnie kwiaty będą twoje. Ja będę ci trochę pomagać, ale należeć będą do ciebie, leniwy skrzacie. — Faery spojrzała na mnie i uroczym gestem odrzuciła loki wpadające jej do oczu. — Zrobisz z nimi, co zechcesz, Bury.
Ciekawe niby co, pomyślałem ponuro. Mógłbym nakarmić nimi krowy, tyle że Faery pewnie nie pochwaliłaby tego pomysłu. Przyszło mi do głowy, że na róży można robić świetne nalewki. Tyle tylko, że nie wiem jak, a na dodatek te nasiona to chyba nie są róże. No nic, nauczyłem się sadzić kwiatki, nauczę się robić nalewki na kwiatkach.
— Hej ho, do bagna by się szło! — zaintonowałem i złapałem Faery za ręce. Sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Zakręciłem nią i przetańczyłem wokół doniczek, a ona śmiała się, ledwo mogąc złapać dech.
— Wariat — powiedziała, gdy się zatrzymałem.
— To skrzacie czary, na szczęście — wyjaśniłem. Czułem się lekko i głupio. — Jeszcze trzeba przeskoczyć nad nimi, krzycząc stare zaklęcie. Popatrz tylko!
Nie czekałem, co powie, i - krzycząc „za cesarza!” - dałem susa przez doniczkę. Nie wyszło dokładnie tak, jak zamierzałem. Chyba za bardzo chciałem się popisać. Nie wiem, co za idiota musiał akurat w tym miejscu postawić ścianę. Przyładowałem zdrowo i padłem na podłogę jak nieżywy. Faery, zamiast mi współczuć, zaśmiewała się do łez, a ja, chcąc nie chcąc, musiałem rżeć razem z nią,

chociaż bolało mnie jak diabli.
— Wariat — powtórzyła, cudownie zarumieniona, a ja podniosłem się z trudem i wystawiając język, udawałem wariata. — Przestań, Bury. Teraz pora na mnie.
Kazała mi usiąść i milczeć. Posłuchałem jej, a wtedy ona klasnęła w dłonie i, oglądając się na mnie nieco wstydliwie, zdjęła najpierw wierzchnią opończę, a potem pokrowce ze skrzydeł. Rozwinęła je, pomagając sobie delikatnymi muśnięciami rąk, a potem wzniosła się do góry i zaśpiewała. Siedziałem w milczeniu, oczarowany, a ona przeleciała po kolei nad każdą doniczką i nad każdą odprawiała te same czary.
— Zobaczysz, jakie piękne wyrosną — powiedziała, kiedy skończyła. Zaczerwieniła się nagle i zawstydziła dziwnie. Szorstko odmówiła, gdy zaoferowałem jej pomoc przy zakładaniu pokrowców na skrzydła. Szkoda; miałem straszną ochotę sprawdzić, jakie są w dotyku.
Niedługo potem maszerowaliśmy razem przez las. Śnieg nie zapadał się pod Faery. Szła lekko, niemal mogłem uwierzyć, że szybuje niesiona przez powietrze. A powietrze było ostre i rześkie. Zachęcało do radosnych krzyków, podskoków i wygłupów. Skakałem więc dookoła jak rozbrykany źrebak, nurkując pod biały puch, a potem wyskakując w zupełnie innym miejscu, obrzucając wróżkę gejzerem śnieżnego pyłu. Próbowała być poważna. Próbowała być na mnie zła. Nie przejmowałem się tym. Wiedziałem, że zachowuję się głupio, ale było mi z tym dobrze, i śmiałem się sam z siebie, a dźwięk własnego śmiechu rozśmieszał mnie jeszcze bardziej.
Potem kazałem jej zaczekać, zapadłem się pod śnieg i długo nie wychodziłem. Wygrzebałem się, zadowolony z siebie, jakieś dziesięć stóp dalej i kiwnąłem na nią ręką. Nie chciała wejść za mną, podejrzewając jakiś podstęp, gotowa rzucić się do rozchichotanej ucieczki. Z trudem nakłoniłem ją, by zeszła na dół, a potem kazałem jej spojrzeć w górę. Posłusznie podniosła głowę i złapała mnie za rękę.
Staliśmy tak we dwójkę, w chłodnym, zalanym migotliwym światłem korytarzu, otoczeni mgiełką własnych oddechów. Promienie słońca roziskrzały się na ścianach, leniwie przesączając się przez śnieg nad naszymi głowami. Tajemnicze cienie zakrywały nasze głowy, by chwilę potem uciec, gonione przez migoczący, gwiezdny pył.
— Jak tu pięknie, Bury — westchnęła Faery. — Jak w kryształowym pałacu…
— Może zaproponujmy leszym takie rozstrzygnięcie ich kłótni: kto piękniejszy dom ze śniegu postawi, ten błotnają krasawicę za żonę dostanie. Co? Jak myślisz?
Wróżka poklepała mnie po policzku małą dłonią. Zaśmiałem się i złapałem ją wpół. Zanim zdążyła się oburzyć, skoczyłem w górę, przebijając głową śnieżny sufit. Przez chwilę wokół nas był tylko rozsrebrzony pył, tańczący z promieniami słońca. Potem wpadliśmy z powrotem w śnieg. Śmiałem się, gdy wróżka grzebała się do góry, i nie przestałem nawet wtedy, gdy na wpół oburzona, na wpół rozbawiona, sypała na mnie białym puchem.
Miejscowi dokładnie mi opisali, jak odnaleźć leśne błota. Nie mieliśmy najmniejszych problemów z dotarciem na miejsce, chociaż wróżka nie była pewna, czy dobrze trafiliśmy. Rozglądała się niepewnie, ściskając mnie za dłoń.
— Chyba zabłądziliśmy — szepnęła mi do ucha, łaskocząc mnie kosmykami włosów.
— Ależ skąd. Skrzaty nie błądzą — odpowiedziałem z pewnością siebie.
— Nie chorują, nie błądzą, i pewnie też nie myślą za dużo. — Rozejrzała się wokół jeszcze raz. — Przecież tutaj jest tak samo biało jak wszędzie wokół. Gdzie te błota?
Pokazałem jej ciemniejsze plamy za drzewami.
— Masz. Bajoro. Nawet nie zamarzło, ciekawe dlaczego. Hej tam, sławna z urody w świecie krasawico! — zawołałem po derewińsku, przykładając dłonie do ust. — Uczyńcie nam zaszczyt i ukażcie niegodnym swoje oblicze!
Zabulgotało, śnieg przed nami zakipiał jak wrząca kasza. Faery zakaszlała gwałtownie, zakrywając nos, a potem zamarła, otwierając szeroko usta. Mam wrażenie, że wyobrażała sobie błotnają krasawicę nieco inaczej.
— Witajcie, szlachetna kikimoro. — Ukłoniłem się nisko, ignorując zapach.
— Możesz mi mówić Szyszymora — uśmiechnęła się łaskawie krasawica, ukazując zielonkawe zęby i

gramoląc się z błota. — Szyszymora, pani jeziora. — Tutaj machnęła ręką za siebie, obejmując tym gestem śmierdzące bajoro za plecami.
— Jam jest Bury. Skrzat Bury, do usług. Towarzyszka moja nosi imię Faery i jest kwiatową wróżką z dalekich stron. Przybyliśmy tutaj, szlachetna…
— Jestem Faery — otrząsnęła się z osłupienia wróżka i dygnęła pięknie, pochylając główką.
— Co ona tam szkierbi? — zainteresowała się krasawica, pochylając nad nami. Faery zbladła.
— Oddychaj przez usta — szepnąłem Faery do ucha i uśmiechnąłem się dzielnie do pani jeziora. — Niestety, nie mówi zwykłym językiem, szlachetna. Chciała jednak zobaczyć, jak wygląda przyczyna tylu nieszczęść spadających ostatnio na ośnieżone bory…
— Pięknie mówisz — westchnęła Szyszymora. Zastanowiła się chwilę i podrapała po głowie, porośniętej zielonymi włosami. — Przyczyna nieszczęść? Jakich nieszczęść?
— Jak to, czyżbyś nie wiedziała, że o twoje względy zabiega dwóch kawalerów?
— Ach, o moich leszych ci chodzi — uśmiechnęła się kikimora z zadowoleniem. — Zawróciłam im obu w głowie, prawda? Codziennie do mnie przyłażą i wzywają, bym do nich wyszła. Ale nie mówią tak pięknie jak ty, mały skrzacie — użaliła się i pomiętosiła łapą w błocie.
— Zgadza się. Obaj chcieliby zostać u twego boku, żaden ustąpić nie chce. Stąd ciągła wojna w lesie. Zwierzęta uciekają, ludzie cierpią…
— Ludzie zawsze cierpią — wydęła wargi kikimora. — A zwierzęta kiedyś wrócą.
— Ale drzewa marnieją, rośliny usychają, bo leszy zamiast się lasem zajmować, wodzą się za łby. Nie byłoby lepiej, gdyby wreszcie w lesie pokój zapanował?
— Może i byłoby lepiej — przyznała mi rację krasawica, próbując podłubać palcem w nosie. — Ale, widzisz, oni obaj tak samo silni, tak samo odporni. Żaden nie może przeważyć w boju. Boję się, skrzacie, że długo jeszcze trwać będzie ich wojna.
— To nie mogłabyś rozstrzygnąć za nich?
— Ja? — Kikimora przerwała dłubanie w nosie i spojrzała na mnie ze zdumieniem.
— Wybierz jednego z nich, drugiemu pokaż figę i po krzyku.
— Kiedy obaj mi się tak samo podobają — wzruszyła ramionami Szyszymora. — Poza tym… to takie romantyczne, kiedy się o mnie biją.
Romantyczna kikimora? No, niech mnie. Nawet nie wiedziałem, że kikimora może znać takie słowo, jak „romantyczne”.
— Nie patrz tak na mnie, skrzacie. Przejeżdżał przez las wóz pocztowy. Koło się złamało, noc się zbliżała. Pocztowcy bali się zostać w lesie, wyprzęgli konie i uciekli. W środku było kilka ciekawych książek. — Szyszymora pogładziła się po włosach i uśmiechnęła się szeroko. — Bardzo podobała mi się ta o miłości rycerza do leśnej nimfy. Leśna nimfa, to przecież coś takiego, jak kikimora, prawda?
Obejrzałem Szyszymorę od włochatych palców u nóg, po brudne kudły na głowie, oceniłem swoje szanse na wyjście z lasu po udzieleniu odpowiedzi zgodnej z prawdą, i ostatecznie zdecydowałem się na niezobowiązujące mruknięcie.
— Nie wierzysz mi, skrzacie? Myślisz, że biedna kikimora, co świata nigdy nie widziała, czytać nie umie? — Szyszymora prychnęła i wydęła grube wargi. — Jak byłam mała, nauczył mnie syn popa. Płaciłam mu ropuchę za każdą lekcję. Czegoś jeszcze chcesz ode mnie, skrzacie?
Nie było sensu dalszej rozmowy z kikimorą; pożegnaliśmy ją uprzejmie i wróciliśmy do domu. W drodze powrotnej nie miałem ochoty na wygłupy. Streściłem wróżce przebieg rozmowy, a ona słuchała uważnie, bawiąc się nitką wyciągniętą z rękawiczki.
— Właściwie, to takie smutne — westchnęła. — Biedna kikimora. Nawet ją trochę rozumiem. Wybierze jednego, drugi będzie cierpieć.
— Nie wydaje mi się, żeby myślała w ten sposób. — Kopnąłem śnieg dla podkreślenia swoich słów. — Ją to chyba bawi. Leszym serca krwawią, wokół wszyscy cierpią, a ona się zachwyca, że to „takie romantyczne”.
— Jesteś niesprawiedliwy. Spróbuj się postawić w jej sytuacji. Co ona winna, że ci dwaj się o nią biją?
— Jak nie umie wybrać, popędziłaby obydwu i byłby spokój w lesie. Mówię ci, że ją to wszystko bawi. A ludzie cierpią, jak sama mi dopiero co byłaś uprzejma zwrócić uwagę.

— Podły, niesprawiedliwy skrzat.
— Pośpieszmy się lepiej, bo już wieczór blisko.
— Nogi mnie bolą.
— To czemu od razu nie mówisz? — zatrzymałem się i pochyliłem. — Wskakuj mi na plecy. No dalej, nie wstydź się.
Długo musiałem ją przekonywać, zanim wreszcie usadowiła się i objęła mnie mocno. Wtedy zarżałem dziko i wyskoczyłem, bryzgając na boki śniegiem. Z ciężarem na plecach nie dałem rady skakać tak wysoko jak zwykle, ale zabawę i tak mieliśmy przednią.

***

Noc spędziłem pracowicie, usypiając miejscowe dzieci. Chodząc między cieniami, zaglądając w szpary między snami i zwykłym światem, przegoniłem kilka koszmarów, a nawet dwie nocnice. Po tym wszystkim, zadowolony z siebie, położyłem się obok śpiących spokojnie pod pierzyną dzieci kucharki. Rano obudziłem się wyspany i pełen energii. Obskoczyłem budynki gospodarcze, równocześnie zastanawiając się nad rozwiązaniem mogącym zadowolić wszystkich i zakończyć bezsensowną burdę między leszymi. W stajni uciąłem sobie pogawędkę z chłopcem stajennym, na podwórzu porozmawiałem z psami, ale myślami cały czas byłem gdzie indziej. Nic więc dziwnego, że nie słyszałem wróżki i gdy mnie dogoniła i chciała złapać za ramię, dałem pionowego susa pięć stóp w górę.
— Nie strasz mnie tak — powiedziałem, gdy spadłem na podłogę. — Zdecydowanie za lekko stąpasz. Muszę poprosić gospodarza o jakiś dzwoneczek dla ciebie, żebym wiedział, że jesteś w pobliżu.
Pożegnałem psy i razem z Faery poszedłem do kuchni. Tam poprosiłem kucharkę o miskę gorącej wody do kąpieli i nieco ługu. Umyłem się w ciepłej wodzie, a potem się przebrałem, podczas gdy wróżka, odwrócona do mnie plecami, opowiedziała mi o wszystkim, co się od wczoraj przydarzyło duszkom kwiatowym. Kiwałem głową, mieszając łychą ubranie zanurzone w misce z gorącą wodą.
— Z ojcem już lepiej, skrzacie — mówiła, nakręcając jeden z loków na zgrabny paluszek. — Gumiennik wczoraj wieczorem przyniósł nam nieco wywaru. Przypomniał sobie przypadkiem, jak sporządzić lekarstwo na ojca chorobę.
Parsknąłem pogardliwie. Kucharka, która stała nad nami, wyjęła mi z ręki łychę i lekko trąciła palcem.
— Idź, skrzacie — powiedziała. — Ja dokończę za ciebie. A nie zapomnij przyjść po obiedzie, dam ci jakiś kąsek.
Ukłoniłem się nisko, złapałem Faery i zanim zdążyła zaprotestować, skoczyłem razem z nią na podłogę.
— Widzisz, nie miałeś racji co do gumiennika — powiedziała wróżka, gdy już złapała dech. — Wcale nie jest wredny, tylko nieco zapominalski.
— Jaki tam zapominalski — zdenerwowałem się. — Faery, ile razy mam tłumaczyć, że to on ci ojca struł.
— Jesteś strasznie pochopny w rzucaniu oskarżeń, skrzacie. — Wróżka wydęła wargi. — Jeżeli struł, to czemu teraz przyniósł lekarstwo?
Bo nakopałem mu do dupy, chciałem powiedzieć, ale się w porę zmitygowałem. Czy Faery pochwaliłaby zachowanie skrzata terroryzującego małego, biednego gumiennika? Mogłaby pomyśleć, że skrzat terrorysta wyżywa się na gumienniku, bo wszyscy inni więksi są od skrzata. Nic więc nie powiedziałem.
Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Najpierw odwiedziliśmy doniczki z kwiatami. Odprawiła tam swoje czary, a ja tylko patrzyłem, nie znajdując słów, by wyrazić swój zachwyt. Potem musiałem biegać do kuchni po wodę, bo tą z roztopionego śniegu, nie wiedzieć czemu, Faery podlewać kwiatków nie chciała. Później przycupnęliśmy na parapecie w pokoju gościnnym, który obecnie zajmowała jej rodzina. Kazała mi zamknąć oczy i czekać. Posłusznie zaciskałem powieki, aż poczułem, że przytyka mi coś do ust.

— Pij — powiedziała. Upiłem więc łyczek.
— Piwo — powiedziałem, zaskoczony. — Trochę gorzkie. Daj jeszcze… Dziwny ma posmak. Tak jakby… hmm… Nie, nie mam pojęcia, co to jest.
— Nie smakuje ci? — zmartwiła się.
— Nie, nie o to chodzi. — Na dowód, że smakuje, pociągnąłem solidnego łyka. — Nigdy jeszcze nie piłem czegoś takiego. Skąd masz? Przywieźliście ze sobą z Tir Connaracht?
— Dostałam od gumiennika — powiedziała, wyraźnie zadowolona z siebie, a ja się zakrztusiłem. — Powiedział, że chce ci dać na zgodę, ale ty byś od niego nie przyjął.
— Od… gumiennika…
— Widzisz? Tak go nie lubisz, a on jest taki sympatyczny… Co robisz?
Zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Targany torsjami, upadłem na ziemię. Krztusząc się własnymi wymiocinami, walczyłem rozpaczliwie o oddech. Dalej pamiętam jeszcze wyraźnie przeraźliwy, rozpaczliwy krzyk Faery. Cała reszta docierała do mnie jak przez mgłę. Dotykały mnie liczne dłonie; ktoś mnie niósł, czułem gryzący mróz i znowu ciepło. Pochylało się nade mną wiele twarzy. Wśród nich dostrzegałem wykrzywione złośliwie oblicze gumiennika, ale może to była tylko halucynacja; pamiętam bowiem także kikimorę śpiewającą mi kołysanki i tańczące na tylnych nogach wilki.
***

Aż do tamtego dnia byłem przekonany, że skrzaty są całkowicie odporne na wszelkie trucizny, czy to istniejące w przyrodzie, czy to wymyślone przez ludzi. Do dzisiaj nie wiem, co takiego gumiennik dodał do wypitego przeze mnie piwa, jestem jednak pewien, że musiało być to coś niezupełnie z naszego świata. Męczyłem się cały dzień, szarpany konwulsjami, ponieważ w targanym skurczami żołądku nie miałem nic, co mógłbym zwrócić. Zasypiałem tylko po to, by po chwili budził mnie spazm bólu. Dopiero wieczorem przestałem się rzucać na posłaniu. Noc i następny dzień przeleżałem, nie odróżniając snu od jawy.
Było ciemno, gdy doszedłem wreszcie do siebie. Czułem się bardzo słaby, ale miałem równocześnie dziwną pewność, że wyzdrowiałem i najgorsze już za mną. Obok mnie w ciemności majaczyła ciemna sylwetka i zanim zrozumiałem, że to Faery, przerażony omal nie rzuciłem się na nią na oślep, gotów zadać jak najwięcej bólu i cierpienia temu, kto przyszedł mnie w nocy zgładzić. Poznawszy ją, opadłem z powrotem na posłanie, wypuszczając ze świstem wstrzymywane powietrze. Wróżka nie obudziła się. Leżała zwinięta w kłębek, w ubraniu, cicho sapiąc, opierając głowę o moją poduszkę. Jej oddech uspokoił mnie i zamknąłem oczy. Spałem bez snów.
Następnego ranka byłem już na tyle silny, by samodzielnie powlec się do kuchni. Faery zmusiła mnie do założenia świeżych ubrań, a potem siedziała obok mnie, nie mówiąc ani słowa. Kucharka nalała mi na spodeczek ciepłego mleka, jak zmarzniętemu kotu, i nakruszyła do niego chleba. Podziękowałem słabym głosem i zabrałem się do jedzenia.
— Przepraszam, Bury — powiedziała nagle Faery. Jej głos drżał.
— Za co? Przecież to nie ty zatrułaś piwo. — Żując skórkę od chleba, zastanawiałem się, czy mam do małej wróżki pretensje. Wzruszyłem ramionami.
— Ale ja ci je dałam. Powinnam… powinnam ci wierzyć. — Wróżka rozpłakała się, a ja nie miałem innego wyboru, jak przerwać posiłek, przytulić ją, i głaskać po złotowłosej główce. — Mogłeś umrzeć — wysiąkiwała mi w rękaw. I jeszcze: — Jaka ja byłam głupia! — A potem: — Pewnie mnie nienawidzisz!
— Jakbym umarł, byłbym pierwszym na świecie skrzatem - ofiarą opilstwa. Mogliby mój wizerunek dawać na plakaty związku gospodyń wiejskich walczących z alkoholizmem wśród małego ludku. Oj, nie rycz już. Masz nauczkę. Jak skrzat coś mówi, to co ma robić wróżka?
— Słuchać. Następnym razem będę słuchać — siąknęła nosem Faery i wytarła wierzchem dłoni oczy.
— Skrzat mówi, wróżka wierzy — kiwnąłem głową. Dalszą rozmowę przerwały nam dzieci, które jakoś dowiedziały się, że skrzacisko nie zdechło i czeka w kuchni na molestowanie. Nie miałem siły na zabawę, na ucieczkę też zresztą nie; na szczęście zawiedzione dzieci zostały wypędzone przez

kucharkę na dwór. Na ich miejsce przyszedł jeden z wujków, czy też kuzynów Faery. Złotowłosy i rumiany, wyglądał podobnie do widzianych przeze mnie w Wierduniu porcelanowych amorków. Nie miał wprawdzie lutni, skrzydła miał ukryte w pokrowcach na plecach, i na koniec nie wystawiał bezwstydnie na ludzkie spojrzenia gołego brzucha i wszystkiego poniżej. Niemniej jednak pierwszym nasuwającym się na jego widok skojarzeniem był właśnie wesoły, pyzaty amorek.
— Pan Riazański prosi skrzata — powiedział. — Zaprowadzę, jeżeli skrzat nie wie, dokąd ma pójść.
Riazański był akurat w stajni, oglądając z zatroskaną miną konia.
— A, jesteście już, panie skrzacie — powiedział na mój widok. — Wybaczcie, że nie odwiedzałem was w czasie choroby.
— I tak bym nie zauważył.
— Tak… Słyszałem, co się stało — Riazański otrzepał ręce i podniósł się z klęczek. — Chodźmy do mojego gabinetu. — Założył surdut i wyciągnął do mnie dłoń, zapraszając, bym na niej usiadł. Pomógł mi usadowić się na swoim ramieniu i raźnym krokiem wyszedł ze stajni, rzucając wokół krótkie polecenia.
W gabinecie ustawił dla mnie na stole krzesełko z kompletu dla lalek, importowane z prowincji centralnych, a sam zajął miejsce przy biurku.
— Nawet nie wyobrażacie sobie, panie skrzacie, jak mi przykro — zaczął, składając dłonie w mały namiocik. — Żeby jeden z moich domowników próbował otruć gościa… To nie do uwierzenia. Chciałbym jakoś wam to wynagrodzić, panie skrzacie.
Zabiło mi serce. Srebro? Może nawet złoto?
— Zgubiliście swój miecz, powiedziano mi.
— Owszem. — Czyżby Riazański miał akurat pod ręką miecz odpowiedniej dla mnie wielkości? Z drugiej strony, powiedziałem sobie, pamiętaj skrzacie, Riazański to herbowy. A herbowi… Są może nie tyle tępi, co pod niektórymi względami dość dziwaczni. Jeszcze gotów mi tu zaraz podarować miecz swojego dziada i — żeby było śmieszniej — to nie będzie dowcip.
— Niestety, nie mam akurat pod ręką nic, co mogłoby wam ten mieczyk zastąpić, skrzacie. Ale wysłałem list do mojego faktora w Głuchini, żeby zlecił wykonanie miejscowym kowalom.
— Jeżeli miejscowi kowale to ludzie, szlachetny panie, to niczego nie zrobią, co by się skrzatowi nadało — powiedziałem, starając się ukryć rozczarowanie. — Na nic mi zaostrzona szpilka.
— Wiem, panie skrzacie, wiem. Jest w Głuchinii kolonia gnomów. Słyszałem, że parają się wyrabianiem narzędzi dla małego ludu.
— Dziękuję.
— Zaczekajcie jeszcze, panie skrzacie. Otruto was pod moim dachem, i chociaż nie wysłuchałem jeszcze gumiennika, jak dotąd wszystko wskazuje na jego winę. Mimo tego mam do was prośbę. Poniechajcie urazy.
— Nie mogę obiecać.
— Panie skrzacie…
— Nie proście mnie, szlachetny panie. Ból mi sprawiacie, kiedy nie mogę waszej prośbie zadośćuczynić — wstałem i ukłoniłem się. — Ja też mam do was prośbę, jeżeli można.
— Jeżeli wy mi odmawiacie, to czemu ja miałbym się godzić na cokolwiek?
— Bo nie dla siebie proszę. Jeżeli mi się uda, skończy się wojna między leszymi w puszczy. Potrzebna jest szafa, z drewna odpornego na wodę; do tego komplet książek. Mogą być najgorsze powieścidła, na przykład romanse. Tak naprawdę nawet lepiej, jak to będą romanse.
Riazański uniósł brwi i wyraz zagniewania znikł z jego oblicza. Wyjaśniłem mu, jaki miałem plan i dla kogo mają być przeznaczone książki. Zaśmiał się wreszcie i uderzył dłonią o blat biurka, wyrażając tym gestem uznanie dla mojego pomysłu.
— Wydam odpowiednie polecenia — powiedział. — Ale naprawdę myślicie, że kikimora przystanie na waszą propozycję?
— Klnę się na brodę mojego dziadka — zapewniłem go gorąco.

***

Niestety nie udało mi się znaleźć gumiennika. Zaszył się w jakąś dziurę, przepadł, najwidoczniej nie ufał w opiekę Riazańskiego, co zresztą dobrze świadczyło o jego inteligencji. Zresztą, nie mogłem się zabrać porządnie za poszukiwania, bo cały czas ktoś się koło mnie plątał. Faery snuła się za mną blada jak suknia panny młodej, cały czas samooskarżając się o próbę skrzatobójstwa. Nawet miło było słuchać jej srebrzystego głosiku, ale nie miałem czasu. Oprócz tego, ilekroć zauważył mnie ktoś z folwarcznej dzieciarni, musiałem dawać pokazy sztuczek, bawić się w berka, albo chodzić na rękach.
Z jakiejś dziury w domu wylazł także nareszcie tutejszy dobrochot i targając za siwą brodę, uprzejmie dowiadywał się o moje zdrowie. Z uprzejmości musiałem z nimi trochę porozmawiać, przeprosiłem, że nie odwiedziłem go wcześniej, a on mi przytakiwał, pod poważną miną ukrywając znudzenie, i wybaczał, z trudem powstrzymując ziewanie.
Wreszcie udało mi się przekonać wróżkę, że jest kompletnie niewinna, a ja nie mam do niej żalu. Następnie zapędziłem ją do doniczek.
— Słuchaj, wiem już jak skończyć tą aferę. To w gruncie rzeczy bardzo proste…
— Jaką aferę? — Wróżka jeszcze myślami była przy truciu skrzatów.
— Oj, no z leszymi. Przekonam kikimorę, żeby wybrała tego, który przyniesie jej kwiat.
— Czyli poetę! — Wróżka zmarszczyła czoło. — Przecież dopiero co mi tłumaczyłeś, że jak wybierze jednego, to drugi będzie cierpiał? Zresztą, jak masz zamiar ją przekonać?
— Żaden nie będzie cierpiał. Zdaj się na mnie, zobaczysz, że wszyscy będą zadowoleni. A kikimorze obiecam prezent od pana Riazańskiego.
— Chcesz ją przekupić? Jesteś wstrętny, skrzaciku. — Wróżka tupnęła nogą, a ja odetchnąłem z ulgą. Najwidoczniej wracała do normy. Taka podobała mi się znacznie bardziej; wolałem ją tupiącą nóżkami niż snującą się dookoła i błagającą o wybaczenie.
— Jakie tam kupić, przedstawić uroki małżeństwa. Tak czy siak, potrzebne więc będą kwiaty, i to jak najszybciej. Włóż w to całe swoje serce, i poproś jeszcze swoją rodzinę o pomoc. Mogę na ciebie liczyć?
— A kiedy pójdziemy do kikimory?
— My? Pójdę sam. Ty się będziesz zajmować kwiatkami, zapomniałaś?
— Czyli jednak mi nie wybaczyłeś — wróżka opuściła głowę i pociągnęła nosem.
— Wybaczyłem, ale przecież nawet w miejscowej gwarze nie mówisz. Jak jest książka po derewińsku?
— Kniga! — wykrzyknęła tryumfalnie wróżka. Niesamowite, jak szybko potrafiła zmienić nastrój. — A widzisz?
Westchnąłem.
— A jak będzie: przepiękna kikimoro, jeżeli wyjdziesz za pierwszego leszego, który podaruje ci kwiat, dostaniesz prezent ślubny od pana Riazańskiego?
— Powiesz mi, to się nauczę — odparła z niezachwianą pewnością siebie Faery.
Z kobietą nie wygrasz. Tak więc ruszyliśmy do lasu razem. Najpierw odwiedziliśmy kikimorę. W pierwszej chwili mój pomysł niezbyt jej przypadł do gustu. Miałem rację, że czerpała dużo radości z walki kandydatów o jej rękę.
— Szyszymoro, weźcie pod uwagę, że nie zawsze będziecie młoda — przekonywałem ją, starając się mówić głosem słodkim jak miód. Faery, blada na twarzy, lecz dzielnie uśmiechnięta, usiłowała nie zemdleć ze smrodu. — Uroda przemija. A do tego, co się stało z poprzednimi książkami?
— Zgniły — ponuro powiedziała kikimora.
— No widzicie. A tak, dostaniecie nie tylko nowe, ale jeszcze szafkę, w której będziecie mogli je schować.
— I tak zgnije.
— Ale zanim zgnije, trochę czasu minie.
Szyszymora zastanowiła się, mieszając śnieg z błotem bosą stopą.
— Zgodzę się, jak Riazański obieca mi dostarczać co roku nowe książki — zdecydowała wreszcie. — A kwiat to musi być róża.

— Róża nie wchodzi w grę. Ma być jakikolwiek kwiat. Ale z książkami, myślę, dam radę. Więc jak, zgoda?
— Zgoda.
— Przysięgniecie, że leszy, który przyniesie wam kwiat, powiedzmy, do południa w dzień przed pełnią… zostanie waszym mężem?
Ustaliliśmy jeszcze, że przyjdziemy przed południem, jako niezależni świadkowie. Szyszymora kiwnęła głową i dała nurka w swoje bajoro. Odetchnęliśmy z ulgą. Potem odwiedziliśmy leszego ze wschodniej części lasu i wytłumaczyliśmy mu warunki postawione przez kikimorę.
Nie mogłem się doczekać zmierzchu; opowiedziałem jeszcze dzieciom bajkę, a potem wymknąłem się znowu do lasu. Wróciłem zmarznięty, zmęczony, głodny, ale zadowolony.

***

Kilka kolejnych dni upłynęło mi jak we śnie. W dzień pokazywałem dzieciom sztuczki, a Faery siedziała obok i zaśmiewała się do łez. Potem dzieci pokazywały mi zabawy w rodzaju „złap skrzata" albo, dla odmiany, „uciekaj przed skrzatem", aż przychodzili dorośli i wynajdywali wszystkim jakieś zajęcia. Dzieci były wyspane i pełne energii; w nocy dbałem, żeby nie przychodziły do nich żadne duchy z cieni. Nie pojawiało się nic większego od płaks i nocnic, a te mogłem z łatwością przegonić, kłując je pożyczonymi od pani Riazańskiej igłami. Później patrzyłem, jak wróżka śpiewa nad kwiatami. Kiedy kończyła, wychodziliśmy na dwór, szukać w korytarzach kopanych pod śniegiem czarodziejskich przejść do kryształowych zamków. Czasami opowiadała mi o swoim życiu w Tir Connaracht, o tamtejszych obyczajach, czasami ja odwdzięczałem się jej historiami z własnego życia. A czasami po prostu siedzieliśmy, trzymając się za ręce.
Nie przestawałem szukać gumiennika i wreszcie dopadłem go rankiem drugiego dnia. Wyjaśniłem mu kilka rzeczy, chociaż usiłował się wyrywać, a potem puściłem milusińskiego wolno, przykazując, by nie pokazywał mi się więcej na oczy.
Trzeciego dnia posadzone rośliny zakwitły. Przybiegli wszyscy z całego folwarku, niektórzy, gdy zdawało im się, że nikt nie widział, nieśmiało muskali delikatne płatki. Pani Riazańska nie powiedziała ani słowa, ale znam się na ludziach na tyle, że wiem, jakim słowom nie pozwoliła umknąć z ust.
— Wiesz, Faery — powiedziałem, gdy wróżka, zadowolona z siebie, przestała obiegać i oblatywać doniczki. — Wydaje mi się, że nie musicie się już martwić o pracę.
— Co ty mówisz?
— Następnej zimy cała szlachta będzie się zabijać o zaszczyt goszczenia kwiatowych duszków. Zobaczysz, że jeszcze dzisiaj Riazańska poprosi, żebyś wyhodowała dla niej kwiaty. Potem zaprosi na herbatkę swoje znajome z sąsiednich dworów. O kwiatach nawet nie wspomni, jestem tego pewien. Po prostu włoży świeżo ścięte tulipany do wazonów.
— Z tulipanami nie idzie mi za dobrze.
— Wszystko jedno, przecież nie o to chodzi. Macie gwarantowane zatrudnienie. Oczywiście, na pewno Riazańscy szepną za wami słówko u pszczelarzy, gdyby nie odpowiadało wam kiszenie się w pałacach.
— Tobie też się udało, Bury — powiedziała wróżka, uśmiechając się łagodnie. — Dzieci cię uwielbiają, Kucharka codziennie zostawia ci jakiś smaczny kąsek w podzięce za opiekę nad jej córką.
Kiwnąłem głową. Coś zawisło między nami, niewypowiedziane. Co się tak uśmiechasz, kretynie, zgromiłem sam siebie w myślach, ale nie potrafiłem się zmusić do powagi. Oczy Faery szkliły się, nie wiem, nadzieją, czy lękiem. Patrzyła na mnie długo, a na jej usta także zakradł się nieśmiały uśmiech.
— Musimy zanieść kwiat leszemu — powiedziałem. — Jutro dzień przed pełnią; rozstrzygnięcie.
— Tak — Faery zamrugała oczami, jak obudzona ze snu.
Pokazała mi, jak ściąć kwiat, jak go przybrać, wreszcie nauczyła zaklęcia chroniącego przed przemarznięciem. Wybrała dla zakochanego poety najpiękniejszą dalię. Ze stodoły wzięliśmy wiecheć słomy, żeby ją dokładnie opatulić. Potem wspólnie poszliśmy do lasu. Leszy był zachwycony. Przez

całą powrotną drogę wróżka milczała, zerkając na mnie tylko czasami z ukosa. Kiedy powiedzieliśmy sobie dobranoc, poszedłem do lasu drugi raz, tym razem sam.
Nazajutrz rano zastałem wróżkę deliberującą nad doniczką, w której rosły „moje” pierwiosnki, gerbery i dalie. Wesoło pozdrowiłem ją i złapałem za rękę.
— Nie chcesz zobaczyć leszego podarowującego kikimorze, zaraz, jak to szło… okruch wiosny zagubiony w śnieżnej zamieci?
— Masz rację, Bury — wróżka poprawiła opadające jej na czoło włosy i podniosła się. Wyraźnie nad czymś się zastanawiała; rzuciła jeszcze raz okiem na doniczki z kwiatami, a potem równie badawczo obejrzała mnie. Nie przejąłem się tym. Narzuciłem na siebie płaszcz, i wyskoczyłem na dwór.
Kikimora siedziała już na brzegu swojego błota, wplatając coś we włosy. Ucieszyła się na nasz widok, i pomachała do nas brudną łapą. Faery wzięła głęboki wdech, na twarz przywdziała uśmiech i ruszyła do przodu, z determinacją żołnierza idącego pod ogień nieprzyjaciela.
— Żaden jeszcze nie przyszedł — powiedziała Szyszymora melancholijnie.
— Spokojnie, ustaliliśmy, przecież, że mają czas do południa — uspokoiłem ją.
— Chyba im na mnie nie zależy — pożaliła się Szyszymora. — Czekam, czekam, wczoraj też czekałam, i nic.
— Pięknolica kikimoro, nie martw się tak bardzo. Nie jest łatwo znaleźć w środku zimy chociaż jednego kwiatka — pocieszałem ją, zadowolony z siebie. — A teraz wybacz, usiądziemy sobie wysoko, żeby móc wszystko widzieć.
— Nie posiedzicie tutaj ze mną? Chętnie bym trochę z wami porozmawiała, zanim zjawi się kawaler. Bo chyba jakiś się zjawi? — zaniepokoiła się nagle błotnaja krasawica.
Jeszcze raz ją uspokoiłem, nie udało się uniknąć dłuższej rozmowy. Na szczęście, tupot nóg za nami obwieścił w końcu przybycie leszego w towarzystwie wilczej gwardii. Pośpiesznie pożegnałem kikimorę i pociągnąłem bliską omdlenia Faery za sobą.
— Teraz szybko, na ten świerk.
— Bury, ale po co?
— Mamy być bezstronnymi świadkami, nie pamiętasz? Właź, nie marudź, z góry wszystko będziemy mogli bezstronnie obserwować. Pośpiesz się trochę…
Leszy podszedł do kikimory i ukląkł przed nią bez słowa. Z pleców zdjął olbrzymi wiecheć słomy i rozwinął go dumnie, wyciągając ze środka mały, nieco pomięty kwiatek. Brakowało mu już dwóch płatków, ale kikimora była zachwycona.
— Piękna scena, prawda? — Wróżka uśmiechnęła się dziwnie smutno i melancholijnie. — Teraz ślub, wesele, i będą żyć długo i szczęśliwie.
— Zaczekaj jeszcze chwilkę — poprosiłem, rozglądając się nerwowo. — I może wejdźmy na wszelki wypadek nieco wyżej.
— Bury, nie wyglądasz na zadowolonego — zganiła mnie wróżka. — Nie cieszysz się, że zakończyliśmy wojnę w lesie?
— Jeszcze nie zakończyliśmy — powiedziałem nerwowo. — Faery, do góry. Proszę ciebie, nie pytaj, dlaczego, po prostu mnie posłuchaj. Hopsa!
W tej samej chwili leszy powstał z klęczek i rozejrzał się. Widząc nas gramolących się w górę świerka, zaśmiał się tubalnie i skinął do nas przyjaźnie dłonią.
— Ot, i nasze swaty — zahuczał, a potem przeszedł na szkierbski. — Zejdźcie, pani wróżko i wy, panie skrzacie. Chętnie bym was uściskał, gdybyście byli nieco więksi.
— Jeszcze chwileczkę — poprosiłem. — I wy też nie odchodźcie stąd, panie leszy.
— Boicie się wilków, panie skrzacie? — domyślił się leszy i zaśmiał się tubalnie. — Swoich nie ruszą, póki nie dostaną ode mnie rozkazu.
— Jeszcze nie ma południa — wyjaśniłem.
— Ale przecież już jeden leszy przyniósł mi kwiat, więc po co dalej czekać? — zdziwiła się Szyszymora.
— Tak, tak — potwierdziłem. — A teraz przypomnijcie sobie dokładnie, coście przysięgała, pani Szyszymoro.

Zanim kikimora zdążyła odpowiedzieć, spomiędzy drzew wyłoniła się druga gromada wilków. Drugi leszy, równie włochaty jak pierwszy, kroczył dostojnie za nimi.
— Nic tu po tobie, kuzynie — zawołał leszy ze wschodniego lasu. — Przyniosłem kikimorze kwiat. Należy ona teraz już do mnie.
Drugi leszy zamarł na chwilkę, a potem wykrzywił się straszliwie i skoczył do świerka, wygrażając pięściami.
— Więc to tak? Oszukałeś mnie, skrzacie! Okpiłeś mnie! Mówiłeś, że jak kikimorze kwiat przyniosę, zostanie moją żoną!
— I zostanie, szlachetny leszy — powiedziałem, łapiąc się na wszelki wypadek mocniej gałęzi.
— Jak może zostać, skoro ten tutaj wypierdek twierdzi, że należy do niego?
— Bury, o czym on mówi? — szepnęła Faery, a ja pośpiesznie przetłumaczyłem jej wrzaski spod drzewa. A potem wstałem, żeby mnie lepiej widzieli, i krzyknąłem, jak mogłem najgłośniej.
— Szlachetna Szyszymoro! Przypomnij nam, co dokładnie przysięgłaś uczynić.
— No… — stropiła się kikimora. — Że wyjdę za tego leszego, co kwiat mi przyniesie.
— Nie. Dokładnie obmyśliłem słowa, więc pozwól, że je przypomnę. Przysięgłaś, że który leszy w dzień przed pełnią, do południa, kwiat ci przyniesie, ten twoim mężem zostanie.
— Czyli ja — oświadczył leszy ze wschodniego lasu.
— Też — zgodziłem się z nim i usiadłem, zadowolony z siebie. — W przysiędze nie było nic powiedziane, że „pierwszy, który przyniesie”, albo „ten, który przyniesie piękniejszy”.
— Eee? — jęknęła kikimora, a drugiemu leszemu tymczasem twarz rozjaśniła się i wyciągnął zza pleców wiecheć słomy. Potem przystąpił do Szyszymory, uklęknął i wręczył jej małego, zmarzniętego pierwiosnka. Ogłupiała krasawica stała potem z dwoma kwiatkami, nie wiedząc, co z nimi zrobić.
— Bury, skąd on miał tego pierwiosnka?
— Zaniosłem mu — wyjaśniłem szeptem.
— Zaniosłeś mu? Ja myślałam…
Nie dowiedziałem się jednak, co myślała wróżka, bo pierwszy leszy ryknął i rzucił się na drugiego. Wilki zawahały się, a potem skoczyły za swoim panami. Krzyknąłem więc jeszcze raz, tak głośno, aż posypał się śnieg. Głos skrzaty mają donośny.
— Stać! Stać, mówię! — leszy zamarli, dysząc ciężko. Z tego, co widziałem, nie zdążyli sobie zrobić krzywdy. — Szyszymoro, musisz dotrzymać przysięgi. Poślubisz teraz obu leszych i będziesz ich…
— Jak to obu? — zaprotestowała kikimora.
— Sama mówiłaś, że obaj ci się podobają. Z tego, co wiem, nie ma nigdzie powiedziane, że leszy nie mogą mieć wspólnej żony.
— Skrzacie, kpisz sobie tutaj z nas — powiedział groźnie leszy. — Kpisz w żywe oczy. Ale zaraz twoje oczy będą martwe, tylko niech cię dostanę w swoje ręce.
— Panie leśny, zastanówcie się. Obaj chcecie mieć żonę. Obaj przypadliście jej do gustu. A co by się stało, gdyby piękna Szyszymora wybrała ciebie? Czy twój kuzyn zrezygnowałby z walki?
— Nie zrezygnowałbym — powiedział ponuro kuzyn.
— No właśnie. A teraz spójrzcie na siebie. Stare chłopy, a bijecie się jak dzieci. W całym cesarstwie będą niedługo opowiadać o was historie. A śmiech będzie taki, że w najgłębszym zakątku lasu się przed nim nie schowacie.
Obaj leszy popatrzyli na siebie, potem spojrzeli na kikimorę.
— A wy, szlachetna Szyszymoro — podjąłem. — Dwóch będziecie mieć mężów, czyli dwa razy tyle radości i męskiej krzepy do pomocy.
— Ale jakże to tak, panie skrzacie — jęknął leszy, ale już bez przekonania.
— No, jakoś między sobą dojdźcie do porozumienia. Na przykład, niech jedną zimę Szyszymora spędza z tobą, a drugą z twoim kuzynem. A teraz wszyscy dają sobie buzi, jak jedna wielka rodzina.
Leszy wahali się chwilkę, mierząc się nawzajem spojrzeniami. Ja w tym czasie wszystko przetłumaczyłem Faery. Wreszcie kikimora zachichotała i pierwsza cmoknęła obu w policzki. W tej samej chwili poczułem na swoim mokry pocałunek. Zdumiony, odwróciłem się i wtedy wróżka pocałowała mnie jeszcze raz.

— Nieźle to wszystko obmyśliłeś, sprytny skrzacie.
— Wiem — powiedziałem wesoło. — Wojna w lesie zakończona. Tadaa! Możemy wracać do domu i szykować się do wesela.

***

Z pozostałych kwiatów Faery postanowiła zrobić bukiet, jako prezent ślubny od jej rodziny dla młodej pary. Nie ruszyła tylko tych rosnących w mojej doniczce; kucnęła przy nich, muskając je opuszkami palców, a w jej spojrzeniach, rzucanych mi co chwilę, tańczyły uśmiechy. Dostaliśmy oboje zaproszenie na wesele. Riazański, gdy mu opowiedziałem o moim rozstrzygnięciu leśnej wojny, śmiał się długo i serdecznie.. Obiecał wypożyczyć stoły i dostarczyć weselnej wódki. Rozochoceni leszy zaprosili wtedy wszystkich z folwarku. Wesele zapowiadało się naprawdę huczne.
Jak zwykle wszystko skończyło się dobrze. Z tego, co wiem, obaj leszy żyli potem długo i szczęśliwie ze swoją współdzieloną małżonką. No, nie tak do końca szczęśliwie. Kilka lat później romantyczne zachcianki Szyszymory dały się obu tak we znaki, że zwiali z lasu do miasta. Wiem, bo z jednym z nich zetknął mnie los , gdy razem służyliśmy ku chwale cesarsko-królewsko-wieloksiążęcej ojczyzny podczas Wielkiej Wojny. No i dobrze się stało, bo po co mieli się męczyć ze sobą, skoro do siebie nie pasowali. Ale to już zupełnie inna historia, a ja nie skończyłem jeszcze opowiadać tej. Nie pojawiłem się bowiem na weselu.
Dzień po zakończeniu leśnej wojny wezwał mnie do siebie Riazański. Siedział w swoim głębokim, skórzanym fotelu, czule obejmując brzuch, ciasno opięty kamizelką. W pierwszej chwili sądziłem, że dotarł już obiecany mieczyk. Rzut okiem na oblicze pana dworu wyprowadził mnie z pomyłki.
— Mam delikatną i - nie ukrywam - przykrą sprawę — powiedział Riazański, gdy już wymieniliśmy kilka grzecznościowych uwag o pogodzie. — Byliście ostatnio w stajni, panie skrzacie?
— Byłem — potwierdziłem. — Chodzi o kasztankę?
— Nie tylko o kasztankę. — Riazański westchnął i poprawił się nerwowo w fotelu. — Mamy także chorą krowę, a przed chwilą mi doniesiono, że wałach właśnie stracił apetyt. Skrzacie… nie chcę was winić.
— Bardzo mnie to cieszy. Mam bowiem własną teorię na temat tego, kogo należy winić.
— To jest druga sprawa, którą chciałem poruszyć. Był u mnie gumiennik. Twierdzi, że to wy jesteście sprawcą. On sam nie wychodzi nigdy ze stodoły, ale podobno inni słyszeli, jak szeptaliście koniom jakieś zaklęcia do uszu.
— Wielmożny panie, to… — zacząłem, ale Riazański nie pozwolił mi dokończyć.
— Panie skrzacie, ja was nie oskarżam! Z góry wierzę, że chcieliście przynieść moim zwierzętom zdrowie. Gumiennik jednak twierdzi, że dobroczynne zaklęcia przywiezione spoza księstwa mogą odnieść odwrotny skutek na zwierzęta rodzone tutaj. Nie znam się na tym…
— Ale ja się znam — przerwałem niegrzecznie. — Gumiennik kłamie parszywie.
— Powiedziałem już, że się na tym nie znam. W dzisiejszych czasach zresztą trudno wierzyć w zaklęcia. Domyślam się, że pewnie chodzi o zwykłe wywary z ziół. Może pomyliły się wam składniki, może tutejsze rośliny mają nieco inne właściwości, a może po prostu naprawdę tutejsze zwierzęta inaczej reagują.
— Raczej to gumiennik je struł.
— Uprzedzał mnie, że tak powiecie — Riazański spojrzał na mnie jakoś smętnie i potarł palcem skroń. — Cały czas go podejrzewacie, zazdrościcie mu pozycji na folwarku, słyszałem.
— Chciał mnie otruć — przypomniałem.
— To tylko wasze podejrzenia. On twierdzi, że skrzata otruć się nie da. Nie mógł przewidzieć, że wam miejscowe piwo zaszkodzi. Popytałem się w okolicy i podobno wy naprawdę nie reagujecie na trucizny — Riazański przerwał na chwilę. Potem położył dłonie na biurku i pochylił się nade mną, kiwając głową w takt wypowiadanych słów. — Panie skrzacie, zresztą mniejsza już o te chore zwierzęta. Bardziej obchodzi mnie co innego. Gumiennik jest moim domownikiem, opiekuje się moimi plonami. Coście wy z nim zrobili? Wygląda jak nieszczęście!

— Ogoliłem — powiedziałem.
— Jak? Przecież nie macie ani mieczyka, ani noża.
— No, łatwo nie było — przyznałem i aż mi się zrobiło błogo na duszy na wspomnienie. Nie bawiłem się w skubanie pojedynczych włosków, ale wyrywanie brody zajęło i tak sporo czasu. Nie śpieszyłem się zresztą. Gumiennik szarpał się, próbując mnie zrzucić, a ja tłumaczyłem mu łagodnie, jak głupio postąpił, zadzierając ze skrzatem.
Riazański pokręcił głową i zabębnił palcami po blacie biurka.
— Przykro mi, skrzacie, ale nie mogę tolerować czegoś takiego w moim domu. Jeżeli nie możecie żyć ze sobą w zgodzie, któregoś z was muszę usunąć. Gumiennik mieszka u mnie o wiele dłużej, i sam awantur nie szuka… Nic nie mówcie, panie skrzacie! Wcześniej nikt się na niego nie skarżył. Nie mam wyjścia. Możecie zostać do jutra, ale z samego rana wyruszycie w podróż.
Wstałem i ukłoniłem się sztywno, a potem jednym susem znalazłem się przy drzwiach. Na korytarzu oparłem się o ścianę, próbując zebrać myśli. Drżały mi ręce. Podniosłem jedną z nich do oczu i drżenie ustało powoli, jakby uspokojone siłą spojrzenia.
Nie miałem zamiaru czekać do następnego ranka. Zabrałem swoje rzeczy z kącika w kuchni, zastanawiając się zarazem nad tym, co robić dalej. Powinienem się pożegnać z Faery, pomyślałem. Ona załamie ręce, ja przytulę ją, zapłakaną, zasmarkaną, nie mogąc znaleźć właściwych słów. Nie, wyruszę od razu, bez pożegnania. Nie dla mnie widok babskich łez. Jesteś tchórzem, Bury, zaszeptało coś w środku mnie. Potrząsnąłem głową, zaciskając oczy. Nie potrafiłem się uspokoić, nieruchomo stałem w korytarzu, ślepy i głuchy na wszystko, co się wokół mnie działo.
Faery nie mogła ruszyć ze mną. Tutaj czekało ją wygodne i bezpieczne życie. Co ja jej mogłem zaoferować w zamian? Głodne noce pod zimnym niebem. Wieczną ucieczkę, z domu do domu, tułaczkę włóczęgów przeganianych z obejścia do obejścia. Zresztą, skrzacie nierozsądny, skrzacie pozbawiony rozumu, spróbuj spojrzeć na to z boku, jakby sprawa dotyczyła kogoś innego. Związek skrzata i wróżki kwiatowej? Przecież to śmieszne. Wcześniej, czy później, ktoś wreszcie by jej wreszcie powiedział, że skrzat nie jest wart towarzystwa wróżki. Głupi, samolubny skrzacie, przestań bać się prawdy. Tutaj będzie szczęśliwa; może nawet nie zauważy, że odszedłeś. Ja też będę szczęśliwy. Szybko znudziłbym się życiem we dwoje i zatęskniłbym za kawalerską swobodą. Lepiej nic jej nie mówić; jeszcze, wbrew rozsądkowi, chciałaby pójść za mną. Hej, skrzacie, bądź ze sobą szczery: a może po prostu boisz się, że właśnie nie będzie chciała wyruszyć z tobą w nieznany świat?
Tak więc nie pożegnałem Faery. Zamiast tego poszedłem do korytarza z tyłu dworu, gdzie, koło wyjścia dla służby, stały nasze donice. Wskoczyłem do tej z kwiatami posadzonymi przeze mnie. Dotykałem łodyg, zanurzałem się w ich zapachu, aż całą głowę miałem oprószoną od pyłku. Tak naprawdę domyślałem się, dlaczego Faery tak nalegała, by te kwiaty były moje i bym mógł zrobić z nimi, co tylko zechcę. Widziałem rozczarowanie w jej oczach, gdy wyznałem, że brakujący z doniczki pierwiosnek trafił w ręce leszego.
Mógłbym teraz zerwać dokładnie taki sam pierwiosnek i położyć pod jej drzwiami. Nie musiałbym dodawać żadnego listu. Zrozumiałaby. Zostałby tylko kwiat, a ona może próbowałaby złapać w jego zapachu jakiś ślad mojej woni, tak samo irracjonalnie, jak ja to robiłem teraz. Nie, to nie miałoby sensu. Szczęśliwe zakończenie wymagało, by zapomniała o mnie jak najszybciej. Przez chwilę walczyłem z chęcią zabrania któregoś z kwiatów na pamiątkę. Potrząsnąłem głową. Szybko zmarniałby na mrozie, zresztą, co pomyślałaby Faery, gdyby dostrzegła jego brak?
Zeskoczyłem z doniczki i zarzuciłem na plecy zawiniątko z moimi rzeczami. Zostawiłem kwiaty, których nie byłem już godzien dotykać, i wyszedłem wyjściem dla służby.